

Anna Lisowska-Niepokólczycka

Jest tu chłopiec



TYNIĘC
WYDAWNICTWO BENEDYKTYNÓW
KRAKÓW 2010

Część pierwsza

WĘDRUJĄC PRZEZ RÓWNINĘ

Jezus Chrystus, Pan historii, trzyma przyszłość otwartą dla szlachetnych i wolnych decyzji tych wszystkich, którzy, przyjmując łaskę dobrego natchnienia, zaangażują się w stanowcze działanie na rzecz sprawiedliwości i miłości pod znakiem pełnego szacunku dla prawdy i dla wolności.

Jan Paweł II, *Akt europejski*

Równina

I wreszcie wszedł na równinę, i zatrzymał się urzeczony jej pięknnością. Znał to miejsce od lat, znał je ze snów, lecz wtedy jawiło się ciemne i zamglone. A teraz oto odsłoniło się olśniewającą światłością i królewskim przepychem.

Osiemnastu zatrzymało się za nim. Byli zaskoczeni nagłym znieruchomieniem biskupa, ale nie pytali o nic. Już przywykli do tego, że Bruno zachowuje się dziwnie.

A on po prostu patrzył...

Równina rozpościerała się przed nimi nieskalaną bielą i tylko powiewy wiatru podrywały zawirowania śnieżnych płatków, wciskając je pod mnisze kaptury. Gdzieś daleko obrzeżała równinę czarna linia lasu. Za tym lasem był cel ich wędrówki. Z nieba przejrzyście błękitnego przyglądało się pielgrzymom słońce.

Więc takie jest miejsce, do którego dążył przez całe życie, wielokrotnie odpychany przez ludzi, przez okoliczności, wciąż kierowany w inne strony.

Usłyszał cichy szept... To Wipert. Zimno mu... Biedak, jest najmniej z nich wszystkich wytrzymały na trudy. A przecież on, Bruno, musiał wybrać na swoją wyprawę tę właśnie mroźną porę. Drogę do Prusów przegradzają rozległe bagna, tylko teraz, po ostrej zimie, zamarznięte i bezpieczne dla podróżników.

Powiało...

Dobrze, że jest wiatr – pomyślał Bruno i przed pierwszym krokiem na śnieżną równinę przeżegnał się. Nie oglądając się, wiedział, że idący za nim mnisi uczynili to samo.

Brnęli powoli, jeden za drugim, zostawiając na śniegu głęboki ślad. Zgrabiałymi rękami przytrzymywali pod brodą kap-

tury, by osłonić się przed wiatrem. Tylko Bruno z przyjemnością wystawiał twarz na jego powiewy. Zawsze lubił wiatr.

Wiatr

Najlepsze pomysły przychodziły mu do głowy, gdy wiatr szalał po świecie, gnąc drzewa, targając drzwiami, wyjąc w szparach, w kominie, przewiewając szaty aż do skóry.

Tam w domu, w Kwerfurcie, kazał sobie wtedy siodłać konia i wyjeżdżał daleko od zabudowań grodu aż nad Salzę, gdzie wiatr na łąkach niczym nie zatrzymywany hulał swobodnie. Mały Bruno puszczał wtedy konia w galop, podnosił twarz, cieszył się widokiem pędzących chmur i wchłaniał to coś wspańskiego, czego nie widać, a co się tak cudownie czuje.

Kiedyś wichura obudziła go w nocy. Dosiadł wierzchowca. Nad Salzą drzewa czubami zamiatały ziemię. Wiatr porrywami gmatwał prąd rzeki, chodziły po niej ukośne bryzgi, odganiał właśnie za wzgórze resztki nocnych obłoków, odsłaniał niebo przezroczyście czyste, z gwiazdami, zda się, tuż nad samą głową. I mały Bruno zrozumiał, że lubi wiatr i dlatego go lubi. Oto pachniał wolnością, sam był wolnością. Mógł latać wszędzie, nad chmurami, aż do tych gwiazd, aż do tronu Boga...

Tam już przycicha, przypada, najdelikatniejszym z powiewów zdejmując z ust Pańskich polecenie i niesie z powrotem na ziemię tym, którzy chcą słuchać.

I wtedy, w tę wietrzną noc, biorąc na świadka lśnienie gwiazd, rzucił mały Bruno błaganie. Pod Boży tron je rzucił...

– Pozwól, Panie, bym zawsze słyszał, co do mnie mówisz, bym zawsze umiał to pojąć.

Błaganie dziecięco szczere, gorące, lecz może zbyt mało pokorne. Bo potem nie zawsze przecież pojmował polecenia Boga. Zadawał zbyt wiele pytań, zuchwałych pytań...

Mnisi z mozołem przecinający równinę zatrzymali się. Najdostojniejszy biskup przystanął tak nagle... Pewnie jest zmęczony wyciągnięciem nóg ze śniegu.

Andrzej wyszedł z szeregu, parł do przodu przez białe zwały. Zrównał z biskupem. Ujrzał jego oczy szeroko rozwarte, wpatrzone w błękit z niemym pytaniem. Więc nie zmęczenie zatrzymało biskupa Brunona, tylko modlitwa. Nagła, strzelista potrzeba rozmowy z Bogiem. Andrzej wiedział, że trzeba tę chwilę przeczekać. A gdy uniesienie ustąpiło z twarzy Brunona, oznajmił:

– Pójdę przodem, ojcie biskupie. Śnieg jest głęboki, kopny, udepczę wam drogę. Wiecie, mocny jestem.

– Wiem, najmocniejszy z nas wszystkich. – Bruno uśmiechnął się, widząc jak Andrzej skinieniem przywołuje swego brata Słabosza, co to na imię zakonne wziął sobie Karol.

Teraz Andrzej z Karolem szli przodem, udeptując ścieżkę pozostałym.

Chyba dobrze uczyniłem, Panie – kontynuował Bruno w myśli Rozmowę – dobrze zrobiłem, że wziąłem ze sobą tych dwóch olbrzymów. Tuni niechętnie pozbywał się ich z Międzyrzecza, ale przecie w końcu uprosiłem. Wyglądają jak dwa kamienne filary, na których można oprzeć każdy ciężar. Może na ich widok Prusowie ulękną się? Nie napadną tak zuchwale, jak napadli na Wojciecha? Pozwolą sobie powiedzieć, że nie przychodzimy w złych zamiarach. Posłuchają Twego słowa...

– Tak, tak – mówił coraz szybciej, coraz gwałtowniej – wiem, że idę tu być może po to, by śmiercią męczeńską, tym chrztem krwi zmasać moje przewiny. Lecz przecie, nim zginę, niech Słowo Twoje padnie na tę ziemię, niech się zagnieździ w sercach tych ludzi choć trochę, choć trochę. Przecie mi na to pozwolisz...

Przerwał, pochylił się wraz z myślami pokornie.

Przebacz, Panie, znowu swarzę się z Tobą. Wkrótce może czeka mnie śmierć, a ja swarzę się z Tobą. Odpuść i bądź wola Twoja...

Trzeba było zająć czymś myśli, więc Bruno wpatrzony w plecy tupiącego przed nim brata Karola zaczął wspominać dzieciństwo.

Dzieciństwo

Ojciec.... Dzielny niemiecki rycerz, ozdoba Turyngii, graf na Kwerfurcie nad Salzą, także Brunon. Ta dzielność i prawość rycerska, iście z legendarnych czasów króla Artura, sprawiały, że ojca szanowano w całej Germanii.

Nie miał graf Brunon zbyt wiele czasu na zajmowanie się synem. Prawda, sam wyuczył go jeździć konno, pokazał, jak należy obchodzić się z wierzchowcem, sam wprawiał rękę małego Bruna w używaniu broni wszelakiej, ale przecie nie poświęcał mu zbyt wiele czasu. Chłopiec widywał ojca najczęściej wyjeżdżającego na wyprawę lub z wyprawy wracającego, zazwyczaj w zbroi i na koniu. Był przecież graf von Kwerfurt rycerzem, jego zajęcie stanowiło wojowanie, a pod rządami Ottonów wojen nie brakowało. Graf zabiegał także o pomnożenie majątności, które kiedyś miał odziedziczyć on, Brunon młodszy, jedyny syn, nadzieja rodu.

Biskup Bruno uśmiechnął się do swych myśli i ogarnęła go litość nad ojcem.

Nic, nic z tego, czego chciał, o co całe życie wojował, nie spełniło się. Nic. Ottonowie nie zostali na tronie Cesarstwa Rzymskiego, a wielce grafowi niemiły Henryk bawarski nosił koronę niemiecką. Umarła umiłowana małżonka rycerza, pani Ida, a umiłowany syn nie pojął żony, nie osiadł w rodzonym

zamku w Kwerfurcie, nie zatroszczył się o ciągłość rodu. Został księdzem, potem biskupem, ale nie osiągnął zaszczytów. Nic z tego, co ojciec dla niego wymarzył. Może Bóg zezwoli, że bliźniacy spełnią jego nadzieje.

Biedny ojciec. Gdy się widzieli ostatni raz, cztery, nie, to już pięć lat temu, bo w roku pańskim tysiąc czwartym latem, w Kwerfurcie właśnie, ojciec był niemal starcem. Zwaliła się na niego choroba, a śmierć żony pogrzyżyła w rozpacz tak bezbrzeżnej, że aż syn, uprawniony powagą namaszczenia kapłańskiego, musiał go strofować, że nie jest dobrym chrześcijaninem, że przecież musi ufać... Kiedyś, po latach, gdy skończy tu życie, ujrzy ją znowu i tam, w krainie wiecznej szczęśliwości, połączą się na wieki.

Ojciec słuchał, kiwał głową, ale nie odpowiadał. I nie chciał jechać z synem do Merserburga, aby patrzeć, jak arcybiskup magdeburgski Taginon w obecności króla Niemiec, Henryka Drugiego, udziela młodemu Brunonowi sakry biskupiej. Graf wiedział, że będzie wielka uroczystość w katedrze, zjadą się liczni panowie z całej Saksonii, ale on tego oglądać nie chciał. Nie o takich zaszczytach marzył dla syna. A już nigdy nie przypuszczał, że dawcą zaszczytów będzie Henryk Drugi.

Tak, stary graf na Kwerfurcie starał się być dobrym chrześcijaninem i dobrym Niemcem, ale mimo to, szczerze i gorąco, tak z całego serca, nienawidził i biskupa magdeburgskiego Taginona, i króla Niemiec Henryka Drugiego. Dlatego nie chciał być przy synu w czasie uroczystości w Merserburgu.

Ale potem, gdy Bruno wyjeżdżał w kolejną podróż, i tam, na dziedzińcu zamkowym w Kwerfurcie zegnał się z ojcem, graf powiedział:

– Jestem prostym rycerzem i nie moja sprawa dawać nauki biskupom. Ale proszę cię o jedno, na pamięć matki proszę, nigdy nie oddawaj się nienawiści. Do nikogo. Prawda, nienawiść czasem przydaje wielkiej siły czynom ludzkim. Ale to siła diabelska. Nic tak nie wyniszcza człowieka jak nienawiść.

Bruno pokornie ucałował dłoń ojcowską.

– Dałeś mi wielką przestrożę i naukę. Nie lękaj się, nie zapomnę jej. Ale i ja chcę cię o coś poprosić.

Bruno mówił to nie podnosząc oczu, nie patrzył na ojca, ale przecież wiedział, że graf zeszywniał w oczekiwaniu.

– Matka nie żyje – szepnął Bruno – jeżeli dojdzie cię wieść także o mojej śmierci, wdziej suknię zakonną, wstąp do klasztoru.

Niebieskie oczy grafa przygasły teraz i jakby wyblakłe objęły syna uważnym spojrzeniem. Odpowiedział jednym tylko słowem:

– *Gut*¹.

Odwrócił się i powolnym krokiem szedł w głąb podwórca. Już z grzbietu konia Bruno widział, że ojciec kieruje się ku kaplicy zamkowej, gdzie była pochowana matka, pani Ida.

Biskup Bruno podniósł głowę, a wiatr otarł mu twarz. Śnieżna równina skrzyła się pod słońcem.

Ciekawe – pomyślał – kiedy ojciec będzie musiał wdziąć suknię zakonną.

Pochylił głowę i znów uciekł myślami w krainę dzieciństwa.

Matka, pani Ida... To dzięki niej mówiono o nim „piękny Bruno”. Od niej pierwszej usłyszał słowa Pan Bóg... *Herr Gott*. I że należy Go kochać i szukać bezustannie dróg do Niego, i jak to robić powiedziała, i jak kochać ludzi, mimo ich wad i że zawsze trzeba grzecznie, wyrozumiale jak ona. Tego już nie powiedziała, ale Bruno wiedział. Matka... Pani Ida... Nieśmiała i delikatna, niewiele mająca do powiedzenia, bo Kwerfurtem w latach Brunonowego dzieciństwa rządziła ciotka Emnilda, starsza siostra ojca. Mały Bruno bał się jej, lecz lubił prawdziwie. Była zawsze w ruchu, zawsze w działaniu. Jej ostry język nie szczędził nikogo, ale robiła to dowcipnie i sprawiedliwie.

Gdy była małą dziewczynką, jej starsza siostra Matylda zachorowała tak ciężko, że nie pomagały ni zioła, ni zamawiania.

¹Dobrze (niem.).

Zrozpaczeni rodzice złożyli ślub Panu Bogu, że jeżeli Matylda ozdrowieje, średnią córkę, Emnildę, poświęcą Bożej służbie. Matylda ozdrowiała, a Emnildę zaczęto uczyć czytania i pisania w świętej mowie łacińskiej. Rodzice pragnęli, by, gdy zostanie już mniszka, doszła do wysokich godności w zakonie. Ona jednak nie czuła się powołana do takiej właśnie służby Bożej.

Tam, w Kwerfurcie, Emnilda zdecydowała, że sześciolatniego Brunona także należy uczyć łaciny. Matka, pani Ida, lękała się, że może to zbyt wcześnie, ale oczywiście nie ośmieliła się powiedzieć ni słowa. Kiedy jednak nauka poszła gładko i chłopiec jął sprawnie składać z liter łacińskie wyrazy, matka była dumna i szczęśliwa.

Ciotka Emnilda nie została przełożoną w żadnym klasztorze. Gdy Bruno miał siedem lat, wyszła za mąż za Roberta. Rodzina była niechętna temu małżeństwu. Liczni krewni przewinęli się wtedy przez Kwerfurt. Ostro i surowo przekonywano Emnildę o niestosowności związku.

Zjechała też ciotka Matylda. Była żoną Lotara Drugiego, grafa von Walbeck, i uważała, że jako najstarsza z rodzeństwa może wszystkich traktować z góry. Swego brata, grafa Brunona, nieco oszczędzała, ale do Emnildy występowała srogo, a już bez miłosierdzia krytykowała panią Idę i małego Brunona. Sama wiedziała doskonale, jak należy wychowywać dzieci. Miała w Walbeck pięciu wnuków. Znakomicie wychowanych, tylko jeden był dość niesforny. Spadł z konia i złamał sobie nos. Tak, nos właśnie. Pewnie do końca życia pozostanie mu zniekształcenie. Ale wracając do Emnildy. Stanowczo nie powinna wychodzić za tego Roberta.

Emnilda jak zawsze postawiła na swoim. I wyszła za Roberta. I przeniosła się z małżonkiem do Kwedlinburga. Kiedy później tknął ją paraliż, w rodzinie głośno mówiono, że to kara boska za niedotrzymanie ślubu rodzicielskiego. Wtedy matka, pani Ida, wytłumaczyła Brunonowi, że tylko ludzie tak załatwiają swoje porachunki: oko za oko i ząb za ząb. Pan Bóg ma zupełnie inne wyliczenia.

Przystanął. Idący za nim mnisi zatrzymali się również. Karol z Andrzejem pracowicie ubijali przed nim ścieżkę. Bruno obejrzał się. Jakże niewielką drogę przebyli. Nie dziwota, trudna ta droga. Nie wiadomo, czy dojdą przed wieczorem do czarnego lasu na horyzoncie. Zaraz za lasem jest ponoć jezioro, a nad nim pierwsza osada Prusów. Cel. Ale droga do niego jeszcze daleka. Ledwie zaczęli przemierzać śnieżną równinę.

Ruszył naprzód. Kapłani za nim. Odsunął kaptur, wystawił twarz na wiatr, na słońce i zaczął myśleć, jak wtedy, w dzieciństwie, szukał swojego miejsca w Ewangelii.

Miejsce w Ewangelii

Księga była duża, gruba, oprawę miała skórzaną, zapinała się na srebrną klamrę. Zawierała wszystkie cztery Ewangelie.

Bruno dostał tę księgę od matki na Boże Narodzenie. Otworzył. Żółtawe karty pergaminu były zasnutę równymi, czarnymi rządkami łacińskich liter i ozdobione pięknymi scenami z życia Jezusa Chrystusa. Każdy rozdział zaczynał barwny, często nawet złożony inicjał.

Ciotka Emnilda zabrała księgę Brunonowi. Oglądała ją ze znanstwem i nie przestawała mówić:

– Zaiste piękny to egzemplarz. Został pewnie napisany w Leodium albo w klasztorze Monte Cassino. Ido, taka księga to skarb. Nie wiem, doprawdy, czy dobrze uczyniłaś, dając ją dziecku.

Pani Ida nieznacznie wzruszyła ramionami.

– Nie chciałam, żebyś go uczyła – powiedziała cicho – skoro jednak nauczył się czytać, trzeba, aby pierwszą książką, którą weźmie do ręki, była właśnie ta.

Czytał tedy zachłannie tę najprostszą i najtrudniejszą księgę świata i szukał w niej miejsca dla siebie. Szukał tam osoby, którą chciałby być. Kogoś bardzo skromnego, niepozornego, ale koniecznie takiego, na kogo Pan Jezus patrzył choćby przez chwilę. Tak osobno.

Najpierw widział się pastuszkim, który na wezwanie Anioła śpieszy do stajenki. Wziąłby ser, białą bułkę, może jeszcze trochę miodu i zaniósłby Dzieciątku. A nuż wyciągnie rączkę? Dotknie białej bułki? Ale jest jeszcze takie maleńkie... Jak synek kuzynki Imirgardy. Niby patrzy, a nie widzi. Niemowlątko przecie.

Mały Bruno z żalem, ale rozstał się z wizją siebie jako pastuszka śpieszącego z darami do stajenki.

Po długim rozmyślaniu zdawało mu się, że znowu znalazł. Było to wkrótce po zaślubinach ciotki Emnildy z Robertem. Rodzice zezwolili małemu Brunonowi na udział w uczcie weselnej i na przyglądanie się tańcom. Bardzo mu się wszystko podobało. Wprawdzie zasnął na ławie jeszcze przed północą i ojciec zaniósł go do sypialnych komnat, ale wspomnienie pozostało miłe i radosne. Może dlatego tak przypadła mu do serca opowieść o godach w Kanie Galilejskiej opisana przez świętego Jana Ewangelistę.

Później, przez wiele miesięcy z prawdziwą lubością wchodził w ten obraz.

Mija sześć wysokich kamiennych stągwi i oto stoi pośrodku domu Izraelity, który swemu synowi wyprawia gody weselne. Bruno jest tutaj małym synem starosty weselnego. Przygląda się wszystkiemu bacznie. Widzi wystrojonych gości, bardzo podobnych do weselników ciotki Emnildy. Tylko Pan Jezus, Jego Matka i Apostołowie są ubrani jak na obrazach. Mały synek starosty weselnego wie, że gości przybyło więcej niż przewidywano. Niektórzy wstali właśnie od stołów, przechadzają się, rozmawiają. Starosta weselny chwyta się za głowę. Szepcze z przerażeniem:

– Wina zabrakło!

Chłopiec wyraźnie słyszy ten szept. Słyszy go również Ona... Niewysoka, smukła, o twarzy nie tkniętej przeżyтыми latami. Jej Syn stoi właśnie wśród Apostołów. Jest bardzo zajęty rozmową. Ona tę rozmowę przerywa. Podchodzi i mówi półgłosem:

– *Wina nie mają...*

W jego ogromnych oczach jest jakby cień rozdrażnienia, czy może rozbawienia tym Jej zatroskaniem. Odpowiada niby szorstko, coś, że to nie Jego sprawa brak wina na weselu, ani też nie Jej sprawa. Kończy tę wypowiedź głośniejszym słowem: *Niewiasto...*

Ona już nic nie mówi, tylko uważnie, spokojnie patrzy Mu w oczy. Więc On wyjaśnia. Może ciągle lekko rozdrażniony? Może w tonie prośby? Perswazji? Może ściszym głosem? Mówi:

– *Jeszcze nie nadeszła moja godzina.*

Ona milczy. Patrzy. Potem uśmiecha się lekko, leciuteńko i czyni ruch głową, jakby potakujący. Co ujrzała w tych przepięknych szeroko teraz rozwartych oczach? Może ów błysk pobłażania? Może rozbawienie? Światło, którego nie zanotował święty Jan Ewangelista? Musiała ujrzeć przyzwolenie, skoro zaraz, odchodząc od Syna, mówi sługom jak zwykle cicho, spokojnie. Mówi: – *Cokolwiek wam rzecze, czyńcie...*

A On każe napełnić stągwie wodą.

Czynią to prędko. Noszą wiadrami. Do każdej stągwi po trzy wiadra. Rozpryskują wodę po posadzce. A gdy stągwie są już napełnione aż do wierzchu, mówią Mu, że napełnili.

On właśnie znowu rozmawia. Słudzy mu przeszkadzają. Oczy ma takie jak po przebudzeniu. Mówi jednak spokojnie: – *Zaczerpnijcie teraz i zanieście staroście weselnemu.*

I niosą. I woda, która stała się winem, jest lepsza niż wszystkie wina przygotowane na wesele. Chłopiec dokładnie słyszy rozmowę starosty z panem młodym, ową naganę i zdziwienie, że wbrew przyjętym obyczajom, podano gościom naj-

pierw pośledniejsze wino, a teraz, gdy są już podpici, daje im się takie znakomite.

Bruno ciągle od nowa wchodził w ten obraz. Mijał sześć kamiennych stągwi służących Żydom do obmywania, i już stawał pośrodku wesela. Widział tamte twarze, lśnienie oczu, drżenie powiek, ruchy rąk. Czuł zapach wina, słyszał rozmowy gości weselnych. Ciągle od nowa przysłuchiwał się słowom, które wtedy, przed wiekami, wypowiedziano w Kanie Galilejskiej.

Aliści któregoś deszczowego dnia napadły go wątpliwości. Przecież święty Jan ani słowa nie napisał o małym synu starosty weselnego. A już zupełnie nie wiadomo, czy Pan Jezus spojrział na tego chłopca... Chyba że to on właśnie powiadomił Najdostojniejszego z gości, że stągwie są pełne. Ale przecież nic nie wiadomo. Mógł wcale nie spojrzeć. Prawdopodobnie wcale nie było małego syna starosty weselnego.

Z wielkim żalem opuszczał Bruno dom Izraelity w Kanie Galilejskiej. Z przykrością mijał po raz ostatni sześć kamiennych stągwi, ale przecież wyszedł. Szukał dalej.

Był wczesny ranek, słońce właśnie wzeszło, a on nareszcie znalazł, co chciał znaleźć.

Cud rozmnożenia chleba opisują wszystkie Ewangelie, ale dopiero ta, świętego Jana, pozwoliła małemu Brunonowi zobaczyć miejsce dla siebie. Bo tylko święty Jan wymienia chłopca.

Jest tak...

Dzień nad morzem Galilejskim, nazwanym później Tyberiadzkim, ma się ku końcowi. Idzie Pan Jezus, a za nim tłumnie ciągną ludzie. Ciągną, bo są niezmiernie ciekawi. Idzie także chłopiec. Niesie niewielki koszyk, w którym leży pięć jęczmiennych chlebków i dwie wędzone rybki. Chłopiec słucha podnieconych rozmów. Ludzie opowiadają o niezwykłościach, jakie czyni idący przed nimi Człowiek. Cudowne uzdrowienia, przemienienia, rzeczy rozum ludzki przerastające. Inni znów mówią o niezwykłej mądrości słów tego Syna cieśli z Nazaretu. Mówią o nauce zupełnie odmiennej od wszystkiego, co słyszeli dotychczas, a przecież tak bardzo do serca przypadającej.

Ludzie idą z Jezusem, dzień tymczasem ma się ku końcowi. I zbliża się żydowskie święto Paschy, największe doroczne święto obchodzone przez Izraelitów na pamiątkę wyjścia z Egiptu.

Jezus wchodzi na porośnięte trawą wzgórze. Otaczają go uczniowie. Tłumy zbliżają się, jest coraz ciasniej. Jezus zamysłonymi oczyma spogląda na ten tłum ludzki, coraz gęstniejący, i zwraca się do Filipa z pytaniem:

– *Skąd, Filipie, kupimy chleba, aby ci się posilili?*

Filip jest zmęczony długą wędrówką w upale, może trochę zły, że tylu ludzi za nimi ciągnie? I że nie wiadomo, gdzie spędzą święto? Odpowiada więc z lekkim zniecierpliwieniem:

– *Za dwieście denarów nie wystarczy chleba, aby każdy z nich mógł otrzymać po kawałku.*

Zbliża się inny z Jego uczniów. To Andrzej, brat Szymona Piotra, mówi:

– *Jest tu chłopiec, który ma pięć chlebów jęczmiennych i dwie ryby, lecz cóż to jest dla tak wielu?*

– *Każcie ludziom usiąść* – rzecze Jezus.

Chłopiec słyszy to i widzi każdy ruch. Siadają. Trawa rośnie tu bujnie. Siadają tedy na trawie wszyscy, około pięciu tysięcy mężczyzn. Tylko oni dwaj stoją: Pan Jezus i chłopiec. Chłopiec wyciąga rękę, może nieco drżąca, podaje koszyk, w którym leży pięć jęczmiennych chlebków i te dwie małe rybki... Wszystko, co mu matka dała, gdy wybierał się w drogę za Nauczycielem. Więc teraz podaje. I to jest właśnie ten moment, kiedy Jezus spogląda na chłopca. Patrzy z nieodgadnionym rozjaśnieniem oczu, może nawet ruchem głowy dziękuje za dar, a potem chłopiec widzi, jak chleby w dłoniach Pańskich rozmnażają się, ciągle i ciągle jeden od drugiego się oddziela, ciągle jest ich więcej. Podobnie dzieje się z rybami. Zdumieni uczniowie roznoszą chleb i ryby wśród siedzących, także zdumionych tłumów.

Zaraz wszyscy się nasycą i zaraz Jezus powie do uczniów:

– *Zbierzcie pozostałe ułamki, aby nic nie zginęło.*

I będą zbierać... skórki, niedojadki, aż zbiorą tych ułomków dwanaście koszy. Ludzie będą mówić, wychwalać Go za ten cud niezwykły, a chłopiec poczuje radość żadnej innej nierówną, że oto nad jego skromnymi chlebkami Jezus cud uczynił.

Odtąd opis cudownego rozmnożenia chleba był ulubionym przez Brunona fragmentem Ewangelii. Ilekroć groziło mu niebezpieczeństwo, ile razy spotkała go przykrość, chronił się myślami na to wzgórze nad morzem Galilejskim, wzgórze porośnięte bujną trawą, stawał wśród tłumu i oczekiwał Spojrzenia...

Rozmiłowanymi oczami wyobraźni wygładził każdy grzbiet, każdy stok okolicznych wzgórz. Widział słońce odbijające się w wodzie, potem w nią zapadające i czekał tej błogosławionej chwili, gdy padnie na niego Spojrzenie...

Tamta kraina stała mu się schronieniem, miejscem ucieczki przed strachem i złem.

Czyżby teraz bał się? Czy dlatego ucieka stąd myślą?

Obejrzał się za siebie. Zaiste wciąż niedaleko odeszli od tego lasu, który opuścili zaraz po rannej modlitwie i obfitym posiłku. Las, do którego dążyli, był jeszcze ciągle czarną linią gdzieś w miejscu, gdzie śnieżna równina stykała się z niebem. Nawet pojedynczych drzew nie można było jeszcze odróżnić.

Jakżeż się głęboko zamyslił, skoro nawet nie zauważył, że oto Wipert wysforował się naprzód i teraz z braćmi Karolem i Andrzejem ubija śnieg przed idącymi, raźnie przytupując. Pewnie mu ciepłej, biedakowi, przez to tupanie.

Z końca szeregu podniósł się głos ojca Rudolfa, najstarszego z misjonarzy. Pozostali podjęli słowa modlitwy. Odmawiali *Ave Maria*² tak wolno i tak rytmicznie, jak kiedyś jego samego uczono mówić „Pozdrowienie anielskie”. Dołączył swój głos do modlitwy słowami *Dominus tecum*³ i wtedy przypomniał mu się jego czas postanowienia.

² Zdrowaś Mario (łac.).

³ Pan z Tobą (łac.).

Spis treści

Część pierwsza WĘDRUJĄC PRZEZ RÓWNIŃĘ

Równina	7
Wiatr	8
Dzieciństwo	10
Miejsce w Ewangelii	14
Czas postanowienia	20
Szkoła w Magdeburgu	29
Thietmar	36
Rok pański dziewięćset dziewięćdziesiąty i pierwszy	43
Bolesław po raz pierwszy	51
Uroczyste powitanie króla	54
Bolesław po raz drugi	61
Opowieść o Adalbercie	67
Zapisywanie	74
Brunon z Karyntii	80
<i>De civitate Dei</i>	86
Wielkanoc w Pawii	91
Rawenna	94
Pokażę ci Wieczne Miasto	99
Adalbertus	105
U stóp Wojciecha	112
Moguncja	119
Bolesław polski po raz trzeci	126
Bunt Jana Krescencjusza	136
W klasztorze świętych Aleksego i Bonifacego	145
Otto Imperator	152

Świątobliwy pustelnik Romuald	158
W oczekiwaniu	167
Pereum.....	174
Bolesław po raz czwarty	182
Kłębowisko intryg	194
Gdy wali się świat.....	205

Część druga

ZAKWITŁ SZKARŁATNY KWIAT

Równina	213
Po śmierci Ottona.....	215
Brat Stratus	220
Droga do Rzymu	224
Rozmowy z papieżem.....	233
Mapa nieba.....	242
Sprawy czeskie i inne.....	249
W Kwerfurcie	256
Dwór królewski	268
Bolesław po raz piąty.....	276
Goście króla.....	286
Długo w Kwerfurcie	296
<i>Nascitur purpureus flos</i>	303
Trzeci krzyż.....	309
Sakra.....	321
Ucieczka	333
Bolesław po raz szósty	342
Wyszehrad.....	351
Spotkanie z Radłą.....	361
Bolesław	375
Opowieść Antoniusa	382
Opowieść Gaudentego	395
Opowieść Barnaby i innych	408
Hymn Wojciecha	422

Część trzecia
IDŹCIE I NAUCZAJCIE

Równina	437
Nauczanie	438
Ich zabójca.....	446
Misja do Swijów	458
Pokusy	475
W Gnieźnie.....	491
Erem.....	500
Chrzcziny w Ostrzyhomiu	505
Włodzimierz, książę kijowski	519
W Kijowie	524
Dzicy Pieczyngowie	535
Bezprym	541
W Poznaniu.....	552
List do króla Henryka	558
W krainie Prusów	569
Spis treści.....	581